

– Doktorowa Tyssowska, jako stała opozycjonistka, robiła „złą krew”. Utrzymywała, że koszty oświecenia, kosztów, dekoracji i wydatki administracyjne pochłonięły lwią część dochodu i że sieroty w „Żłóbku” nie dostaną prawdopodobnie więcej ponad dwadzieścia koron z halerzami... Trzeba było, przy tych rewelacyjnych widzieć minę Kasztalińskiej. Ha! ha! ha! Łuniewski nie tylko nie zawtórował towarzyszowi śmiechem, ale wogóle reagował na jego słowa tak, jakby ich nie słyszał.

Władek umilkł na chwilę, zapalił papierosa, a potem znowu zaczął, ale innym trochę tonem:

– Bardzo dobrze wyglądała Lola Żarnicka jako „wróżka”... Wiesz, że ona jest zupełnie przystojna i miła dziewczyna... Trochę za chuda, za blada, za anemiczna i, co prawda, za dużo jakaś taka chłodna. Ale ona się zmienia, bo temperament tam jest, o! jest...

Urwał, przeżuwał w milczeniu jakąś myśl, wreszcie od niechcenia rzucił pytanie:

– Czy panna Lola oprócz tego brata ma jakieś jeszcze rodzeństwo?

– Nie.

– Hm... a kamienica w doskonałym punkcie... dwupiętrowa, podobno bez grosza długu... Obito mi się także o uszy, że są kapitały w gotówce... Słyszałeś coś o tem, co?...

– Aha...

– Więc panna Żarnicka jest zupełnie posażną panienką... Tylko ta mamusia... sprzedałbym ją poniżej ceny kosztu... za złamanego szeląga, albo za żelaznego centa... Ostatecznie jednak... Co myślisz o tem?

– Nic.

Władek spojrzał uważniej na kolegę.

– Dyabelnie jesteś lakoniczny... Jaka mucha cię ugryzła?... Przyznajno się szczerze, może ja cię wchodzę w drogę przy pannie Loli?...

– Dajże mi święty spokój z panną Lolą!...

– Więc nie?... Tem lepiej. Ale czegoś ty taki zły? Aha, domyślał się...

– Tylko nie staraj się być za dużo domyślnym, bo ci z tem nie do twarzy...

– Uuu!... Aleś ty porządnie zirytyowany!... I wołałbyś, żebyś się nie domyślał... A ja jednak odgaduję, o co chodzi... Na „żywych obrazach” brakło najpiękniejszego obrazu... Nie było jej!... Została w domu... za karę!...

Zaczął się śmiać i z filuternie łobuzerską miną zanucił:

„Młoda, ładna mężaleczka,
Ach! to maślacz...”

– Słuchaj, Władek, przestań, bo mnie twoje kiepskie dowcipy nie bawią. Możesz nimi zachwycać lykowskie panny Tosie, Micie i Kicie, ale nie mnie!...

– Julek, zmiłuj się, toż ty parzysz dzisiaj, jak pokrzywał... A minę masz taką, jakbyś się doprawdy tego... ten... O! to niebezpieczna bestyjka, ta piękna pani Józia!...

– Głupiś! – rzucił jakimś świszczącym szepem przez zęby Łuniewski.

– Bardzo jesteś uprzejmy, ale po starej przyjaźni nie obrażam się... A że ona niebezpieczna, to niebezpieczna, bo dyabło ponętna... Sambym się do niej brał, gdyby nie...

– Znasz ty piosenkę o Kohnie, który ma szalone szczęście do kobiet, bo, na którą spojrzy, to mu się każda podoba...

Tym razem Władek obraził się...

– No, mój kochany, niech ci się tylko nie zdaje, żeś dostąpił jakichś szczególniejszych łask u pani Konradowej... Ona nie jest taka nieprzystępna!... Pomimo swojej młodości i dziecinnej minki, ma już za sobą trochę burzliwą przeszłość... I to jej małżeństwo z Żarnickim to bardzo ciekawa historia!...

Łuniewski miał ochotę zamknąć koledze energicznie usta, a jednocześnie zapiekała go ciekawość... Może dowie się czegoś bliższego o Józii...

– Już widzę, żeś się natykał plotek od kumoszek lykowskich...

– Przepraszam cię, wcale nie żadne plotki... Słyszałem te rzeczy od osób wiarogodnych i dobrze poinformowanych.

– No, cóż takiego na przykład słyszałeś?...

– Pani Józia jest córką radcy Maliniewicza z Krakowa... Jeszcze nie wyrosła z dziecinnych sukienek, a już znana była w całym mieście jako „dziewczyna, z buzią jak malina”... i już wtedy próbowała siły swoich wdzięków na studentach i akademikach, czego jej zresztą nie można brać za złe... Szkół nie skończyła, bo...

zaszły tam jakieś niepożądane komplikacje... W czasie ewakuacji Krakowa wyjechała do Pragi i tam zawiązała romans z Żarnickim... Słyszałem nawet o grubej kompromitacji...

– Brednie!...

– Wierz, lub nie wierz. Powtarzam to, co mi mówiono. Otóż o romansie szesnastoletniej wówczas córeczki dowiedział się tatuś, pono bardzo surowy, pospieszył nad Wełtawę, no i stało się, jak w poemacie nieboszczyka Sotera Rozbickiego: „lecz ojciec, o zgrozo, zagroził jej koza”... Stosunki z Żarnickim zerwały się, co, jak słyszałem, było bohaterowi bardzo na rękę...

– Płótkarskie kłamstwo to aż piszczy w tem opowiadaniu...

– Taki jesteś tego pewny?... A jednak faktem jest, że panna Maliniewicz, po zerwaniu z Żarnickim, miała aż dwóch narzeczonych; jednego profesora gimnazjalnego i jakiegoś nauczyciela ludowego... Znam nawet ich nazwiska... Otóż za tego nauczyciela ludowego miała iść zamąż, ale coś tam zaszło i panna na dwa tygodnie przed ślubem uciekła do Żarnickiego...

– Tutaj, do Łykowa?!

– Nie. Do Zakopanego, gdzie Żarnicki przebywał z matką. Miał się żenić z panną Masławską, ale obecna pani Konradowa narzuciła mu się w niesłychanie bezwzględny i natarczywy sposób... Ostatecznie, pod groźbą skandalu, małżeństwo doszło do skutku... Przyznasz, że na tak młode stworzenie krok był śmiały i ryzykowny i wskazywałby, że panna niewiele miała do stracenia...

Coś się w Łuniewskim targnęło, wzięła go nagle chęć zatrząść tak Władkiem, żeby mu jego jasny kapelusze spadł z głowy. Pohamował się wszakże i dość spokojnie powiedział:

– Mój drogi, nie baw się ty w psychologa... Chyba sam wiesz, że psychologia to nie twoja specjalność...

– Niepotrzeba tutaj żadnej psychologii. Dość spojrzeć pięknej pani w oczy, żeby spostrzedz, jakie tam dyabliski siedzą...

Łuniewski ziewnął przeciągle, jakby mocno znudzony.

– A niech sobie siedzą... – powiedział nie dbale – co mnie to właściwie wszystko obchodzi.

Władek uśmiechnął się niedowierzająco i spojrzał na kolegę bokiem.

– Może cię i trochę obchodzi... Ale pozwól sobie powiedzieć, że się zabierasz do mężalki w bardzo niezgrabny sposób...

– Czyś zwaryował?! Ani mi się śni do niej zabierać!...

– Powiedz to komu innemu... Choć nikt inny nie wierzy, bo za dużo afiszujesz swoje... powiedzmy, zainteresowanie... Możesz ją narazić przez to na wielkie nieprzyjemności!...

Łuniewski sfaldował czoło w groźne zmarszczki.

– Co ci się znowu ubzdurało!... Władek, ty się robisz poprostu nieznośny, jak stara baba – plotkarka!...

– Radzę ci – uważaj! Mówię to przez życzliwość dla ciebie.

– Za życzliwość dziękuję ci, ale bez rad się obejść...

– Jak wolisz...

Umilkł – obaj poirytowani... Koszczyc mniej, a Łuniewski bardzo silnie...

Rozmowa urwała się i dalszą drogę przebywali już w milczeniu.

Julian coraz energiczniej gwizdał przez zęby i tylko zaklął głośno ze złością, przekonawszy się, że papierosnica jego jest już pusta...

– Władek, masz papierosa?

– Mam, ale podłego.

– Wszystko jedno, dawaj!

Zapalił znowu i starając się opanować swoje wzburzenie, rozważał i kombinował.

Domyślał się, że w opowiadaniu Władkowemu o Józii muszą być jakieś żdźbła prawdy, tylko przez famę plotkarską odpowiednio wydęte, przerobione i zjaskrawione.

– Muszę się dowiedzieć, co to było, jaka ona właściwie jest... Wydaje się taka szczerą... Czyżby grała komedję?... Chociaż po co ja o tem myślę, co mnie to, u diabła, obchodzi...

Czuł jednak że go to obchodzi i bardzo nawet.

Młodzi ludzie skręcili w ulicę, przy której mieszkali. Uderzył ich tam oryginalny w swoim rodzaju widok.

Przez całą długość chodnika ciągnął się nieprzerwany wąż ludzki, który w zakrętach przechodził na drugą stronę ulicy.

W tłumie tym przeważną większość stanowiły kobiety. Niektóre były boso.

Jedne drzemały, stojąc, inne gryzły jakieś przyniesione ze sobą prowianty, inne jeszcze rozmawiały, przy czym co chwila padały słowa dojmujących wyrzeknięć, niekiedy zaś dawało się słyszeć przekleństwo, groźba, złorzeczenie.

Na samym końcu długiego szeregu kilka kobiet śpiewało półgłosem pieśń nabożną:

„Pod Twoją obronę uciekamy się...”

– Co to znaczy? – zapytał Łuniewski – awantura jakaś, czy co?... W nocy takie zbiegowisko...

– Ależ to „ogonek” chlebowy – odpowiedział Koszczyc – na rogu jest piekarnia. Ci ludzie będą tak czekali do rana, póki piekarni nie otworzą.

– Przecież tu są stare, słabe kobiety i małe dzieci!...

– Spadłeś z obłoków, chłopie, czy co?! Nie wiesz, co się dzieje?! No tak, prawda, ty masz zawsze swoją białą bułeczkę!... – zadrwił Władek.

Julian zatrzymał się, przystanął i przypatrywał się czekającym przed piekarnią. Stał tak długą chwilę. Wreszcie zapytał jedną z kobiet:

– A jakby pani rano przyszła, nie byłoby dość czasu?

– A co też to pan mówi, jak dziecko!... Nie widzi pan, ile ludzi... Do rana będzie drugie tyle, a i tak połowa z niczem do domu odejdzie!...

– Ten pan to widać nie wie, co wojna – nie dopieka mu! – odezwała się inna kobieta o zmizerowanej twarzy, ze złym, zgryźliwym wyrazem wąskich, zaciśniętych ust.

Po twarzy Łuniewskiego rozpostarł się gorący, różowy obłok.

Młody człowiek przesunął ręką po czole i zaklął głośno:

– Psiakrew!

Niewiadomo do czego, czy do kogo miało się to odnosić.

Łuniewski z Koszczycem skierowali się ku swojej bramie. Za nimi biegły szept:

– Moja pani, nie wie też pani, kto to te panowie?

– Urzędniki z „cyntrali”.

– A tak! Tacy, to mają wszystkiego zadosyć! I pewnie bogaci. Widziała pani, jaki to ten, co do mnie zagadał, miał gruby złoty łańcuch?...

– I takie młode, zgrabne chłopcy, a w „cywilu”...

– Bo pewnie „lekramowani”...

– Moja pani, ja czterech synów posłałam na wojnę, a „lekramował” ich to kto?!

– Czterech synów, czterech... A żyją chociaż, piszą?

– Jeden „zginiony”, drugi zaginiony, trzeci w niewoli u Moskala, a czwarty na „romuńskim” froncie!...

Koszczyc dzwonił do bramy. Zanim zjawiła się stróżka, zazgrzytały wrzeczadze w sąsiednim domu i wysunął się stamtąd mężczyzna w kapeluszu, wciśniętym głęboko na czoło i pomimo tego, że noc była bardzo ciepła, otulony w luźny, szeroki płaszcz.

Księżyc świecił tak jasno, że Koszczyc zdolał spojrzeć temu mężczyźnie w twarz i poznał go.

Tracił Łuniewskiego łokciem.

– Widzisz, Potyrowski!... Czego on się tak szwenda po nocy... Wygląda, jakby się skradął... To jakieś ciemne indywiduum... Wiesz, ja coraz bardziej dochodzę do przekonania, że ten elegancki jegomość, a ów szuler od Grünapfla, to jeden i ten sam człowiek.

– Byłem tego pewien! – odpowiedział Łuniewski, sięgając do kieszeni po portmonetkę, aby dać stróżce „szpyrę”.

ROZDZIAŁ IX.

„Aron Gelbfisz, skład różnych towarów, sprzedaż nafty, świec i mydła inne spożywcze towary”...

Tak opiewał szyld, wiszący nad sklepikiem, do którego wchodziło się po kilku wydeptanych, wykrzywionych, na pół zapadłych schodkach, przez drzwi o pośluzzonej, zaklejonej papierem szybie.

(Ciąg dalszy nastąpi).